

Rok IV.
Kraków, dnia 19 maja 1910 r.
Nr. 21.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. — Do Ameryki 2 dolary, — do Niemiec 6 koron. — **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Administracya »Roli«, Kraków, ulica Garncarska l. 1. — Cena drobnych ogłoszeń 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.**
Numer pojedynczy 10 halerzy.


Matka Boska Częstochowska

Radosną wieść głosić będą w dzisiejszą niedzielę Świętej Trójcy całe obszary Polski dzwony Częstochowskie. Wołać będą spiżowemi dźwięki na wielkie święto, które obchodzić ma Jasna Góra: na koronacyę cudownego obrazu Najświętszej Panny Częstochowskiej.

Lecz nietylko dzwony, ale niezliczone tysiące serc wiernych Maryi zabije żywiej dnia tego, tysiące serc pobożnego ludu polskiego uniesie się gorącą modlitwą do Królowej Korony Polskiej z prośbą i błaganiem o przebaczenie zniewagi, uczynionej świętemu obrazowi w październiku zeszłego roku przez złoczyńców.

Bo w istocie obrabowanie Matki Boskiej Częstochowskiej było prawie bezprzykładną w dziejach niegodziwością. Zbrodnia zeszłoroczna da się jedynie porównać z podobnym rabunkiem, jaki wydarzył się w pierwszej połowie piętnastego wieku, gdy w sam dzień Wielkiejnocy banda złoczyńców dokonała podobnego świętokradztwa. Po wyśledzeniu król Władysław Jagiełło ukarał złoczyńców śmiercią.

Następnie przez szereg stuleci spadały na Częstochowę napady Szwedów, wkraczały wojska rosyjskie i pruskie — ale nigdy nie odważono się ruszyć tego, co pobożne i bez miary wdzięczne dla Maryi Panny serca polskie ofiarowały na przyozdobienie świętego obrazu.

Aliści po nieopisanym smutku i żalu, jakie ogarnęły cały katolicki nasz naród, i wycisnęły nie jedną łzę tak w chacie polskiego wieśniaka, jak i Polaka pracującego hen, za morzami w odległej Ameryce (bo i tam nasi ziomkowie głęboko zniewagę Najśw. Pannie wyrządzoną odczuli) rozbrzmiała wieść radosna: o to Ojciec św., Namiestnik Chrystusowy na Stolicy Piotrowej postanowił otrzyć łzy narodu polskiego, ukoić żal i boleść milionów wiernych serc, i ofiarować św. obrazowi dwie nowe korony.

Korony te, wręczone w Rzymie polskiej delegacyi, są już w Częstochowie i dziś odbywa się uroczyste ukoronowanie niemi głów Maryi Panny i Dzieciątka Jezus.

Ukoronowana na nowo, spojrzy Najświętsza Marya Panna łaskawie z pewnością i na dar skromniejszy, na sukienkę, ofiarowaną przez dwie parafie Złotniki i Kobiernice dyecezyi kieleckiej w Królestwie Polskiem. Na dar ten gospodynie oddawały korale, wszyscy inni dawali grosz ofiarny, i tak powstała sukienka wyobrażona na naszej rycinie: jest ze złotej lamy i materyi jedwabnej z deseniem wyszytym koralami, który jest taki sam, jaki był.



Dar ludu polskiego obok tysiąca innych dowodów nabożeństwa i czci dla Matki Boskiej Częstochowskiej — dowodzi, że w ludzie naszym żyje bezustannie gorąca i żywa wiara do »Panny Świętej, co jasnej broni Częstochowy« i każe ufać, że i Królowa Korony Polskiej nieopuści swego wiernego ludu!

Krzyżacy na Litwie.

XXIV. SĄD.

Straszny oskarżyciel i hardy oskarżony. — Jak brzmiało oskarżenie. — Trzy winy. — Ołtarzyk z obrazem. — Wizerunek Pojaty. — Oburzenie sądu i ludu. — Skazany na śmierć. — Pierwsza łza.

W parę dni potem do izby, w której siedział Trojdan, wpadli zbrojni mężowie, budząc go ze snu głębokiego. Związawszy ręce, powiedli go do wielkiej komnaty na zamku, gdzie zasiadł sąd z najstarszych kapłanów i kilku najprzedniejszych rycerzy złożony. W pośrodku nich, na wysokiem wzniesieniu, nowy Krywekrywejte, straszny Jerbut, głowa sądu.

Gdy młodzieniec, śmiało spoglądając wokoło, nie uląkł się strasznego dla innych widoku i dumnie podniósłszy czoło w górę, oczekiwał zapytań.

Rozpoczął je Jerbut, przystępując odrazu wprost do sprawy, o którą chodziło, i tak mówił:

— Jakkolwiek przewinienia twoje, młodzieńcze, są wielkie, na jakkolwiek srogą zasłużyłeś karę, należy mi naprzód uwiadomić cię, że zwolnienie jej zależeć będzie od szczerości wyznania twojego. Bogowie pokornym przebaczają tylko. Nie trzeba ci mówić, iż przy świetle i przenikłości, którą mnie ich łaska z tą godnością okryła, nic zataić nie zdołasz. Wszelkie z twej strony wybiegi próżnemi byłyby i na twojąby tylko posłużyły szkodę. Masz więc być szczerym i otwartym, a naprzód masz wyznać, kto jesteś w istocie i jak się nazywasz?

— Jestem Trojdan i nazywam się Trojdan — odpowiedział młodzieniec.

— Czy innego imienia nigdy nie miałeś — zapytał Jerbut.

— Jeśli świątobliwość wasza jest obdarzona wiadomością wszechrzeczy, więc nie potrzebuje o to mię pytać.

— Jużem ci dał do zrozumienia — odezwał się Jerbut — że od pokory i szczerości złagodzenie twej kary zależy. Wiem czem jesteś, wiedziałem już, kiedyś do świątyni niegodną wstępował stopą, lecz bogowie własnego obwinienia żądają. Jeśli jesteś ubogim ich sługą, za jakiego ujść chciałeś, skądże masz te bogactwa, któreś mi ofiarował?

— Gdybyś umiał być użytym — odpowiedział młodzieniec — dowiedziałbyś się rzeczy, o której przy całej twojej świętości wiedzieć nie będziesz.

— Dobrze — rzekł obrażony sędzia. — Każde słowo winę twą powiększa. Patrz nieuważny! jak niewdzięcznie odrzucasz sposoby ratunku, które ci litość moja nastręcza! Chciałem podać ci rękę, chciałem cię ocalić. Gdybyś był cudzoziemcem, wyjętym z praw naszych, łagodniejszego doznałbyś obejścia się, lecz ponieważ jesteś Litwinem i niczem innem, jak tylko sługą ołtarza, za jakiego wszedłeś w mury świątyni, będziesz więc sądzony podług najściślejszej praw surowości.

— Trojdanie! — odezwał się jeden z kapłanów — nie żalże ci twojej młodości? Twój upór męczarnie tylko powiększy. Jakaż jest rzecz na świecie, jakaż tajemnica tak głęboko kryta, którejby nie doszła przenikłość naczelnika naszego! Nie mam ja jego daru, ani godzien go jestem, lecz zamilczeć nie mogę, żem z wielu powodów uważał cię zawsze za cudzoziemca i wiarę twoją w podejrzeniu miałem. Twój język, twoje wiadomości, cała twoja postawa objawia w tobie wyższego stanu człowieka. Wyznaj kto jesteś, jeszcze czas łaski nie minął.

— Jestem Trojdan, ofiarnik Znicza — mówił nieporuszony młodzieniec.

— Jesteś spólnik duchów piekielnych! ale zobaczymy, jak cię one obronią — odezwał się Jerbut. — Żerga — rzekł do jednego z kapłanów — przystąp do oskarżenia.

Powstał zatem z miejsca swego wezwany oskarżyciel i w te słowa zaczął:

— Młodzieniec obecny, imieniem Trojdan, przed dwoma laty wszedłszy dobrowolnie w błogosławiony poczet sług Znicza i złożywszy śluby ofiarnika, przez cały ten czas udaną pobożnością umiał oszukiwać czujność zwierzchników i za pomocą złych duchów zjednawszy sobie pewną wziętość u ludu, wszedł w występne porozumienia z młodą niewiastą i trzymał ją zaklętą w mieszkaniu swojem. Długo trwał ten zbrodniczy związek i kto wie, jak wielkiego zgorszenia i klęsk w narodzie stałby się przyczyną, gdyby łaskawi bogowie, zsyłając na urząd Krywekrywejty czcigodnego Jerbuta, nie położyli końca tym okropnym bezprawiom. Jego to święta wiadomość wszechrzeczy wyśledziła zbrodnię w jej najskrytszych tajnikach. Przystępując podług praw i przepisów naszych do jej ukarania, uważać ją będziemy pod trojakim względem. Przewinił Trojdan naprzód, jako wchodzący w porozumienie ze złymi duchami; przewinił powtóre, że ich używał do najszkaradniejszej czynności, do zaklęcia podobnego sobie stworzenia; przewinił potrzecie, że będąc sługą ołtarza zaklął niewiastę, z którą, z prawa ślubu swego, nie powinien był mieć żadnego porozumienia. Gdy jednak nieskończenie łaskawi bogowie w najjawniejszych przestępstwach zostawiają obwinionemu sposobność usprawiedliwienia się, mów, Trojdanie, co masz na swoją obronę?

— Jużem powiedział — rzekł Trojdan — że nie znam żadnych czarów, żadnych złych duchów i że niewiadomość tylko i złość może mi czynić podobne zarzuty.

— Dowody to twierdzenie zbijają — odezwał się drugi z kapłanów — jednakże jeszcze zwolnienie wyroku może mieć miejsce. Jeśliś miał moc zaklęcia podobnego sobie stworzenia, wątpić nie można, że musisz także posiadać siłę wrócenia go do stanu dawnego. Czynność ta, rozumiem, zasłużyłaby na pewny wzgląd sądu.

— A naprzód, masz wyznać — rzekł Jerbut — kto jest ta nieszczęśliwa ofiara, którąś wybrał za przedmiot swych sztuk przeklętych, i jak długo ją trzymasz w tym stanie?

— Nie znam czarów i żadnej zaklętej nie trzymałem ofiary — odpowiedział Trojdan.

— A cóż to jest? — podnosząc ze stołu pokrycie, zapytał Jerbut. — Nie jestże to postać zaklętej niewiasty?

Wielki powstał w zgromadzeniu rozruch za podniesieniem zasłony. Lecz, aby pojąć powody, które pełnemu przesądów ludowi podawały myśl obwinienia podobnego sobie stworzenia o czary, i domyślić się przyczyny, dla której młodzieniec tak stale wzbraniał się objawienia prawdy, trzeba wiedzieć, że to, co Jerbut mienił być zaklętą niewiastą, nie było niczem innem, jak wizerunkiem w malowidle najśliczniejszej dziewicy. Żywość kolorów, a nadewszystko powierzchowny jego kształt i zewnętrzne ozdoby, cechę wieku noszące, przyczyniały się zapewnie niemało do działania przeważnie na umysły na pół jeszcze dzikiego narodu. Był to rodzaj ołtarzyka z podwójnemi drzwiczkami, wykładany perłową macicą, w głębi którego obraz z popiersia dziewicy naturalnej wielkości, słodkim wzrokiem zdał się przemawiać. Co zaś było podziwem największym i myśl czarów wzniecało, były to te drzwiczki cudowne, które wewnątrz wykładane polerowaną stalą, stały

się zwierciadłem i za otwarciem kilkakrotnie ukazując powtórzone rysy, pewny im rodzaj życia dawały. Nie był zapewne ten obraz tej doskonałości, jaka w późniejszych wiekach naznaczyła dzieła sławnych malarzy, gdy już jednak we Włoszech ich sztuka słynąć zaczęła, wątpić nie można, że i Polska, skąd Trojdan przybywał, na dworze pierwszych panów znała już ten kunszt przedziwny, tembardziej, że ostatni jej król, Ludwik Węgierski, tak częste miewał z Włochami stosunki i był panem lubiącym bardzo sztuki nadobne.

Na widok tedy tej mniemanej zaklętej niewiasty zebrani Litwini, bardziej trwogą niż podziwem zdjęci, gromadząc się koło stołu, z niedowierzaniem spoglądali na portret, a ze zgrozą na właściciela jego, który widząc wystawione na różne domysły drogie sercu swemu rysy, żalem i rozpaczą dręczony, jeszcze bardziej w oczach sędziów winnego miał postać.

— Już więc przekonany jesteś, Trojdanie! żeś zaklął tę nieszczęśliwą — rzekł Jerbut — teraz wyznaj, czy nie masz spólników swej zbrodni?

— Przekonany tylko jestem o przesądach i niewiadomości waszej — odpowiedział Trojdan — sam zaś będąc niewinny, nie mogłem przybierać wspólników.

— Ale ja tu ciała nie widzę — mówił jeden z przytomnych, wodząc ostrożnie po obrazie ręką. — To rzecz osobliwsza, oczy jej patrzą, usta zdają się chcieć mówić, a ręką nic chwycić nie można.

— To też właśnie jest dowód sztuki czarodziejskiej — odpowiedział Jerbut.

— To nie jest zaklęta niewiasta — odezwał się inny — to jest tylko cień jej zatrzymany w tej szafie, jak się to często daje w głębokiej studni spostrzegać.

— Cokolwiekbądź — rzekł oskarżyciel — zawsze to jest sprawa złych duchów.

— Cóż tedy to jest? — zapytał jeden z kapłanów Trojdana.

— Cóż wam mam mówić? — odpowiedział młodzieniec — jeśli nie wiecie, co to jest malarz i farby. Słuchajcie! jest to obraz cudowny, wzbudzający cześć i poszanowanie. Własność jego jest nagradzać odległość, śmierci zdobycz wydzierać i słodzić tęsknoty. Biada temu! kto w nim nie znajduje pociechy.

— Kapłani! — zawołał Jerbut — strzeżcie się mu wierzyć, chce was ustraszyć, obłądzić. — W jakimże to celu przechowywałeś to dzieło niecnoty?

— Żebym miał przed oczyma wyobrażenie tego, co jest zbiorem cnót najrzadszych i co cenię najwyżej.

— Więc u ciebie jedna niewiasta w cenie była najwyższej. Bardzo dobrze! któż tedy jest ta niewiasta? — zapytał Jerbut.

— Tego nikt się odemnie nie dowie — odpowiedział Trojdan.

— Patrzcie tylko dobrze — zawołał inny — mnie się zdaje, że to jest twarz córki Lezdejki.

— W samej rzeczy to ona! — ponowił ktoś z boku. — Przecież ją znam doskonale! — te oczy, usta i cały skład twarzy jest Pojatą, tylko braknie, żeby przemówiła.

— Prawda! to jest córka poprzednika mego — zawołał Jerbut, powstając. O! co za zbrodnie straszliwe! Z nich to gniew bogów i wszystkie klęski, co na Litwę spadły! Ofiarnik w występnem porozumieniu z córką naczelnika wiary? Teraz daje się tłumaczyć, dlaczego Trojdan Pojatę ratował, dlaczego ją do Kiernowa zawiódł i tak długo tam mieszkał! Perkunie! Pekolo! jakżeście litościwi, kiedy ich dotąd na ziemi cierpicie!

Napróżno zdobywał się obwiniony na wszystkie dowody, żeby okazać mylność tego obwinienia! porównywał oblicze Pojaty z rysami malowidła, różnice wywodził, przysięgał, zaklinał, nie mógł jednak uprzedzonego ludu odwieść od powziętej myśli i tembardziej za winnego uchodził, że w rzeczy samej portret nieznajomej piękności niemało miał podobieństwa z Pojatą; strój tylko obcy na głowie zdał się ją cokolwiek od córki Lezdejki odróżniać.

Okropne to dostrzeżenie do różnych złorzeczeń dało powód i zniszczyło do reszty uczucia politowania, jakie dla nieszczęśliwego młodzieńca dochowywali dotąd niektórzy; powszechne zatem powstało szemranie, a lud się tak dalece oburzył, że Lezdejki upadek przypisując zbrodniczym jego córki porozumieniom ze sługą ołtarza, na równą ją karę przeznaczał.

— Stos jeden powinien ich spalić. Bogowie nie byliby dostatecznie zemszczeni, gdyby które oszczędzone zostało — odezwał się jeden z obecnych — niech razem giną!

— Niegodni są stosu! — dał się słyszeć drugi. — Miecz ich zgładzić powinien. Spólna ich wina drzwi nam święte zawarła, spólna ich śmierć otworzyć je musi. — Niema litości. Niech się ich krew w piasku połączy.

— Barbarzyńcy! — zawołał silnym głosem Trojdan — nieprzekonanych chcecie potępiać! Nieuważni i złością tylko miotani, przypatrzcie się dobrze tym rysom; sąż one obrazem Pojaty? Pojata jest niewinną. — Ze mną czyńcie, co wam się podoba, mnie palcie albo ścinajcie, lecz jej czystej cnoty nie kaźcie.

— Młodzieńcze! — rzekł Jerbut — słyszysz ludu żądania; zaniechaj słów próżnych, jutro żyć przestaniesz.

— Nie — odezwał się głos poważny z grona przytomnych — jutro żyć jeszcze powinien. Jutro święto Iłgi, dzień radości Litwy, niechaj dnia tego krew występna nie kala.

— Lecz ta krew drzwi nam święte otworzy — odpowiedział Jerbut.

— Przeczekamy ten dzień — odezwał się inny — jakeśmy ich wiele przeczekali; ofiary bogom na polach złożymy, jak nasi ojcowie czynili, byleśmy w dniu, w którym krew nasza płynąć przestała, nie patrzyli na nowy jej przelew.

— Stanie się podług waszego żądania — odpowiedział Jerbut i dał znak odprowadzenia do więzienia Trojdana. Opuszczając młodzieniec tłuszczę okrutną, rzucił na Jerbuta wzrok wzgardy, czułem spojrzeniem pożegnał obraz, a łza boleści pierwszy raz przy świadkach oczy jego zrosiła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Droga do szczęścia.

Pędzę taczkę życia po tej łez dolinie,
Szukając szczęścia, już lata
Z uśmiechem czasem ono się ominie,
I tylko troska ciężej przygniata!

Lecz któż jest szczęśliw, w tej łez dolinie?
Takie pytanie stawiam wbrew woli
Kogo na świecie szczęście nie minie,
To wszystko zależy od Bożej woli.

Bo kto się woli Bożej poddaje,
Ten już do szczęścia drogę poznaje!
Lecz chętnie znosić przykrości trzeba
By znaleść prostą drogę do nieba.

Z. Bogdański z Jaślisk.

Kwiaty w nabożeństwach majowych.

Znamienną dla uroczystości na cześć Najświętszej Panny jest w czasie majowym okoliczność, że ołtarze i obrazy Matki Bożej, nawet ołtarzyki w domach katolickich zamieniają się w ogród kwiatów, które pobożni składają u stóp Przeczystej Dziewicy. Ta wonna danina ma swoje głębsze znaczenie.

Kwiaty zajmują wśród tworów Boskich odrębne stanowisko. Są one na kuli ziemskiej mniej więcej tem, czem są gwiazdy na sklepieniu niebieskiem: niezamąconemi śladami dawnego świata rajskiego, mniej dotknięte klątwą grzechu. W swej wspaniałości barw i swej przecudnej woni są nam one dowodami dobrotliwości i łaskawości Stwórcy. Dlatego to ofiarujemy kwiaty tym, których kochamy i czcimy, składając im w dani to, co możemy dać najlepszego, najszlachetniejszego.

A komuż mamy składać tę wonną daninę, jeśli nie Matce naszej w niebie? Dlatego tak samo, jak kadzidło i światło przy nabożeństwie, służą również kwiaty za pobożną ozdobę. Komuż lepiej przystoją kwiaty, jeżeli nie Tej Przeczystej, która sama jest kwiatem, co wydał owoc, niweczący klątwę, a przynoszący nam błogosławieństwo? Dlatego też Kościół święty przeznacza Najświętszej Pannie najpiękniejsze i najwonniejsze kwiaty, które sławi Pismo św. Kościół św. sam zowie Maryę królową wśród kwiatów i wysławia ją jako »Lilię wśród cierni«.

Lilia jest obrazem czystości, a Najświętsza Panna jest najczystszą, niepokalaną, bez zmazy grzechu poczętą, jest Dziewicą, której nie skaziło ani tchnienie. Jest Ona lilią wśród cierni, które swemi kolcami i ostrzami stanowią przeciwieństwo z kwiatami, zwłaszcza z delikatną, śnieżno-białą, wonną, wysmukłą lilią. Jak lilia jest obrazem nieskazitelnej czystości, tak ciernie mogą wyobrażać grzech i nieczystość, jakiemi ludzkość oplata grzech pierworodny i przeliczne inne grzechy. Ale Marya jest także lilią nad liliami i swą świętością i nieskazitelnością góruje nad wszystkimi aniołami i świętymi.

Będąc sama najczystszą i najświętszą, wywiera też z swej chwały niebieskiej moc oczyszczenia i uświęcania na cały okrąg ziemski, który, wedle widzenia św. Dominika, otula płaszczem miłości. Budzić czystego i pobożnego ducha — to dzieło Maryi przez Jej modlitwę i Jej przykład. Prowadzić życie czyste i pobożne — to zadanie jej wielbicieli.

Z lilią w ręku zstępuje do Niej Archanioł Gabryel, z lilią w ręku stoi św. Józef przy Jej boku. Jeśli chcemy złożyć Królowej niebios miłą Jej ofiarę w tym miesiącu, czci jej poświęconemu, to ofiarujmy Jej lilię czystego serca i ducha.

Najświętszą Pannę porównują dalej z różą. Do niej stosuje Kościół św. słowa Pisma św.: »Wywyższoną jestem jako róża jerychońska«, a w litanii loretańskiej pozdrawia Maryę, jako »Różę duchowną«. Róża jest z powodu swej płomiennej krasy barwy i swej silnej, a jednak łagodnej woni, obrazem miłości Boga i bliźniego.

Marya jest także niebieską królową róż, która obok lilii czystości niepokalanej wyhodowała w swem sercu także róże miłości Boga i bliźniego. Żadne stworzenie nie pałało taką miłością, jak Boża Rodzicielka, która wydała na świat Syna Bożego i stała pod jego krzyżem. »Tak bardzo świat ukochała — mówi św. Bonawentura słowami Pisma św. — że za nas oddała swego Syna jednorodzonego«.

Lilie czystości, róże modlitwy i miłości — oto kwiaty, które złożymy Matce Bożej Królowej korony polskiej w tym miesiącu Maryi maju.



MACIEK BZDURA GADA:

Ja zawse myślał, że ziemia, na której się urodziłem i kobyły pasałem, to nasa katolicka i polska ziemia, a temcasem, to ono jest inacy.

Na Zielone Świątki, które tego roku były tak zielone, ze nawet w nasyj gazytce litery pozieleniały, wybrałem się do Krakowa z gospodarzem, aby się tam za jaką babą obejrzyć i różnem róznościom się przypatrzyć, a po siódme, zeby ten ślicny obraz z Panem Jezusem, Matką Boską i świętem Józefem u gazyciarzów ujrzyć.

O obrazie, da Matka Boska, na drugą niedziele wam opowiem, bo jest o cem gadać, a teraz wrócę do tej mojej jazdy.

Myślałem ja zawsze, ze ta święta nasa ziemia, to calusieńka polska, a tu juz w Rzesowie oficery od pociągu po niemiecku świargocą.

Ledwie my wsiedli z gospodarzem do wagonu zaraz jeden taki oficer zacął wrzesceć: fertyk! Powiadam do gospodarza, ze to pewnie zyd, ino za oficyra przebrany, kiedy śwargoce, ale gospodarz powiadają, ze to katolik ino udaje Miemca.

— »A cemu on tak udaje? — zapytałem gospodarza«.

A oni mi na to:

— »Jak pozyjes, Maciuś, dłuzy, to poznas, ze są na świecie ludzie głupi, głupsi, najgłupsi i jesce od nich głupsi. Tacy ludzie to choć nie umią śwargotać po obcemu, to oni umyślnie śwargocą, aby insi myśleli, ze oni umią. I właśnie takie ludzie najczęściej świargocą. Człowiek, który umi śwargotać, cy to po miemiecku, cy po taliańsku, cy po frajcusku, to ino wtedy śwargoce kiedy koniecnie musi, a takie to zawse, cy trza, cy nie trza«.

— »A to ony głupie ludzie!“ — powiadam do gospodarza.

— »A głupie! ale są jesce głupse, to te co takiego śwargotania słuchają. Jagby ni mioł kto słuchać, toby i oni nie gadali«.

Smutno mi się juz wtedy zrobiło, ale jesce smutniej, jak my przyjechali do Krakowa. Wjechalimy tam pod taki śklany dach, a oficer od wagonów zacął zaraz na kogosi krzyceć: »Krakał«. Pytam ja się zaraz gospodarza, kto krakał, ze oficer tak na niego wrzescy? A gospodarz padają:

— Nikt, Maćku, nie krakał, ino ten kondoktór tak nas kochany, polski Kraków, po śwabsku przezywa.

Oj, zeby ja se był wziął maglownicę gospodyni ze sobą, abo choćby zarnówkę, byłby ja go kraknął przez łeb, zeby drugi raz zadnem końcem pary nie puścił.

Takim był zły o to śwargotanie i o inse śwargotania w Krakowie, zem se całe Zielone Świątki popsuł i zeby nie obraz u gazyciarzów, byłbym smutny do chałupy wrócił.

HISTORYA POLSKA W OBRAZKACH.

13.

Drugi z synów Krzywoustego, Bolesław Kędzierzawy, przezwany tak od kędzierzawych włosów, objąwszy najwyższe rządy po wypędzonym Władysławie, oddał braciom ich kraje.

Władysław wygnany szukał w Niemczech pomocy przeciw braciom. Dał mu ją cesarz niemiecki Fryderyk Rudobrody, który kazał Bolesławowi Kędzierzawemu przed sobą stanąć i wytłumaczyć się, dlaczego Władysława wygnano; a gdy go Bolesław nie usłuchał, cesarz z ogromnem wojskiem wkroczył do Polski, paląc i pustosząc po drodze aż do samego Poznania.

Polacy widząc, że trudna rada, woleli się zgodzić i Bolesław Kędzierzawy musiał przyjąć nader upokarzające warunki. Boso, w śmiertelnej koszuli, z mieczem zawieszonym u szyi szedł do obozu cesarza i tak go przepraszał, obiecując cesarzowi grube pieniądze i oddanie krajów Władysławowi.

Obietnice te jednak spełzły na niczem, gdyż Władysław tymczasem umarł (1159 r.). Synowie jego otrzymali jednak Śląsk, na którym rozpoczęły się już wtedy starania, aby go zniemczyć, i trwają do dziś dnia.

Potem Bolesław wyprawił wojsko na pogańskich Prusaków i zmuszał ich gwałtem do przyjęcia Chrztu św. Póki widzieli Prusacy miecz nad karkiem, póty udawali Chrześcijan, ale gdy Polacy odeszli, znowu wrócili do pogaństwa i do zdrad swoich. Jednego razu wprowadzili Polaków na bagna i trzęsawiska. Tam naszych mnóstwo poginęło tak w błocie, jak i od miecza i zatrutych strzał Prusaków.

Wtedy to zginął Henryk, po którego śmierci Sandomierskie dostał najmłodszy z braci Kazimierz, ten, który przy podziale nie miał wyznaczonego żadnego księstwa.

Bolesław Kędzierzawy, umierając, pozostawił zwierzchniczą władzę nad Polską młodszemu bratu Mieczysławowi.



Bolesław każe chrzcić Prusaków.

Ojciec, matka, dziecko.

»Szczęść Boże!« wołamy do rolnika, rzucającego w ziemię ziarno. Oby ono stokrotne wydało plony i wynagrodziło Waszą pracę i zabiegi, dodajemy.

A rolnik sieje ziarno... sieje z modlitwą Pańską na ustach, sieje z błogą nadzieją w sercu. I ziarno pada na pulchną glebę. Rolnik odchodzi, boć wieczór za pasem, a i w domu jeszcze moc roboty.

Nazajutrz rano promienie słońca spuszczają snop światła i ciepła na ziemię. Promienie piękne, silne, męzkie, a tak, rzec można, w każdym odcieniu szlachetne. I pod ich ciepłem ożywczem budzi się uśpione ciszą nocną ziarneczko. Budzi się, chce żyć i widzi, jak ten świat piękny, jak dobry. I wyciąga swoje ramionka do słońca i woła: »Światła, ciepła!«

A kłoski i trawy rosną pod promieniami słońca, a ono dobroczynne ogrzewa je dalej, otula troskliwie swojem ciepłem, zachęca do życia, wskazuje piękność świata.

Lecz, o dziwo! roślinki się chylą jakoś — jakieś żółte — smętne.

— Cóż to?

Oto »skwar« ludzie powiadają i... płaczą.

— Nad czem?

O, bo słońce, co się wzniosło tak wysoko, taką moc promieni spuściło na słabe roślinki, że zgięły się one, jak pod stopą olbrzyma. I leżą teraz wątłe i blade, smętne i płaczące, jakby oddychające ostatnim zabytkiem sił... Lecz przychodzi deszczyk, krople ożywcze padają i znowu roślina budzi się do życia z nowym zapasem sił. I tak mijają dnie po dniach... Słońce doskwiera, czasem piecze mocno, lecz daje ciepło i światło. Wpływ jego łagodzi deszczyk wonny, miły, łagodny lub rosa poranna, która brylancikami, jak łezkami skrapia rośliny. I zboża rosną piękne, bujne, a rolnik cieszy się, bo Bóg dał mu w nagrodę plon obfity.

Czytelniku! ta roślinka, to twoje dziecko. Bóg, rolnik troskliwy, dał Ci je, aby ono się stało pociechą i podporą twoją. Proces, jaki odbywa się w naturze, jest procesem psychicznym u twojego dziecka. To dziecko takie maleńkie z początku, tak niedołężne, wymagające ciągłej opieki toć to mała roślinka, na pozór tylko matczynego starania potrzebująca.

Lecz to tylko pozornie się dzieje, bo w rzeczy samej, któż dokłada starań około wyżywienia dziecięcia? Jak roślinka delikatna, tak to dziecię potrzebuje ciepła, odpowiedniego pożywienia i wygody. Któż to dostarcza, jeśli nie ojciec? Lecz ta roślinka otoczona promieniami troskliwości ojca i matki rośnie. Otwierają się oczęta dzieciny, usteczka uśmiechają się radośnie i wołają: — »Ciepła, światła!» — Ale już nie tyle fizycznego, ile moralnego.

I wtenczas to zaczynają działać pierwsze promienie światła-słońca.

Słońce to ojciec, — Ojciec, który pracuje na wyżywienie dziecka. Ojciec, który otula to dziecię ciepłem swojej miłości i nie wacha się popieścić je nieraz. Ojciec, który wskazuje dziecięciu ideały dobra, piękna i cnoty. Ojciec, który mu powiada, że świat nie jest tak zły, jak ludzie powiadają. Ojciec, który pomaleńku wprowadza na drogę życia i wskazuje wyższe cele, dążenia i obowiązki człowieka-chrześcijanina. Ojciec, to to słońce, wielkie, potężne, mocne i wspaniałe, lecz i... groźne. Bo czasem przychodzi chwila, w której ten ojciec poważny i szlachetny unosi się gniewem, gdy dziecię na karę zasługuje. Sroży się, bo choć kocha, ukarać musi — gniewać się musi.

Dziecię drży... wątła roślinka słania się... boi... blednieje. Boi się gniewu ojca, bo czuje, że nań zasłużyło... drży przed karą... Lecz wtenczas to przychodzi z pomocą deszczyk, rosa poranna — matka. Matka, ona zawsze potrafi wyszukać w dziecku cnoty i zalety, przewyższające wady i mocą matczynej miłości a kobiecej tkliwości wyprasza przebaczenie, a małego winowajcę łagodnością i dobrocią na drogę poprawy sprowadza.

Jeźli wielkie i doniosłe jest zadanie ojca, to o ileż szczytniejsze i większe jest zadanie matki, jako niewiasty. Ona przeczuciem kobiecem odczuje każdą myśl żywszą dziecka, ona czyta jak w otwartej księdze w sercu i twarzy jego. Ona ten młodociany, wrażliwy i nieodporny na zło umysł, nagina do potrzeb życia. Ona słucha skarg i myśli. Ona żyje tylko tem dziecięciem. Jak ojciec charakter i wolę, tak ona wykształca serce. Ona, która życie za to dziecię da w ofierze, nie żałuje choćby codziennie wylanych łez-brylantów. Dziecię rozwija się fizycznie i moralnie i wyrasta z niego człowiek o sercu, silnej woli i charakterze. O! bo na niego działały w życiu dwa czynniki. Jego wychowywały potężne, szlachetne, silne słońce i piękna, delikatna, srebrząca rosa poranna. I ono wyrósłszy na człowieka zachowuje kult słońca i rosy porannej. Czci życiem i czynami ojca i matkę. Rolnik otrzymuje sowity plon pracy i zabiegów.

* * *

Lecz... gdy jest inaczej? Oto pytanie, jakie nasunie się każdemu.

Za całą odpowiedź wskażę ci, Czytelniku, gromadkę malców tam, na ulicy się bawiących. Idź i popatrz im się w oczy... Zobaczysz tam oczy tak poważne, dzikie i smutne, taka otchłań straszliwej biedy i nędzy moralnej wygląda z tych oczu, mających być jasnem, niewinnem odzwierciedleniem duszy dziecka, że staniesz jak wryty przed tym obrazem i zapytasz się z trwogą i grozą: »Jaka będzie przyszłość tego dziecka? Jaki to będzie człowiek?«

Przyszłość ci odpowie:

— Wyrzutek społeczeństwa i dziecko wyrodne. Zaiste dziwnem nam się może wydawać, że te dzieci, które przychodzą na świat z tak czystemi serduszkami, tak niewinne, w dojrzałym wieku »wyradzają się«. Jednak... badajcie życie tych wyrzutków społeczeństwa, tych ludzi, których ojciec i matka przeklina i zwie »wyrodkami«. Badajcie, a odsłoni się przed waszemi oczyma zasłona przeszłości i zobaczycie całą straszną tragedyę życia.

Baczcie, kto i jak ich wychowywał?... Czy ich wychowywało słońce i rosa poranna? O! z pewnością, że nie! Ich wychowywała ulica i zdemoralizowani rówieśnicy. Romans kryminalny był pierwszym szczeblem ich »oświaty«, a pierwsza kradzież jej skutkiem. Czy się kto o nich zatroszczył lub zapytał?

Ojciec pracował ciężko, lecz gdy skończył pracę, szedł do karczmy, aby czarne myśli utopić w kieliszku; matka, swarliwa i kłótliwa kobieta, gdy dziecię przez ojca ukarane zapłakało, dodała mu jeszcze, uważając dzieci za stworzenia, na których gniew swój lub złość wywierać można, a nie za delikatne istoty, za ludzi... Gdy ciągłe wichry i huragany trwają, roślina gnie się... Gdy zaś na roslinę padają ciągłe deszcze, marnieje lub wyradza się ona. Tak samo, gdy dziecię, miasto łagodnego napomnienia, żale i skargi matki na surowość ojca słyszy, »wyradza się«. Gdy niema deszczu łagodnego, gdy niema matki-rosy porannej, lecz jest słaba, ideał w dziecku widząca kobieta, robotnica fabryczna lub kumoszka gromadzka, która dopiero wieczór zwołuje dzieci z ulicy do spania, a w dzień się o nie nie troszczy, dziecię staje się »wyrodnem«. Gdy niema słońca — ojca, lecz jest pijak, złodziej lub niedowiarek, zgorzkniały, przekleństwami siejący człowiek, jak się dzieci nie mają »wyrodzić«?

A gdy są role zmienione? Gdy deszczem delikatnym, słabym — ojciec, a słońcem potężnem i groźnem jest matka, to i nie dziwimy się przedwczesnej niechęci do życia u młodzieży!

Ojcze! Matko! nim przeklniesz dziecię »wyrodne« zastanów się, czy w twojem postępowaniu nie było błędu, czyś wypełnił swoje zadanie względem niego, czy w jego wychowaniu starałeś się o to, aby ono się Bogu, czy ludziom podobało? czy to dziecię nie słyszało z ust twoich przekleństwa, nie słyszało niechęci do życia, nie widziało upadlających twoich czynów? Gdy się tak zastanowisz, to wtenczas nie powiesz »O wyrodku“! lecz „Moja wina“! A teraz ty ojcze i matko, którzy z trwogą słuchacie opowiadań o dzieciach wyrodnych, którzy z sali sądowej, gdzie sądzą czyny małoletnich przestępców wychodzicie bladzi i bojaźliwi.

Ty ojcze i matko zwróć swe oczy na Swoje dziecię i nie skąp mu pytania. »Co Ty o tem myślisz?« »Gdzie Ty byłeś?« Co tam robiłeś?« Nie obawiaj się zniżyć do umysłowego poziomu swego dziecka, lecz czuj i żyj z niem! A przedewszystkiem wskaż mu, jakie jego życie być powinno swojem życiem i czynami!

Nie rzucaj tego dziecięcia na pastwę ulicy, nie oddawaj mu na opiekunów, świata i jego rozkoszy, bo gdybyś tak uczynił, to i swe dziecko, to, które tak kochasz, to, o tak jasnem, niewinnem spojrzeniu stanie się »wyrodnem«, i spotkasz się z niem w tej samej sali sądowej, skąd wychodziłeś blady... zobaczysz go tam... za kratkami i czytać będziesz w jego oczach straszny, niemy wyrok potępienia.

Czyż mógłbyś mu wtenczas powiedzieć: »O wyrodku?«

* * *

Gdybyście zobaczyli, że Wasz sąsiad posiał ziarna pod cienistą gruszą — śmiechem byście wybuchli i głupcem go nazwali, z dumą spoglądając na swoje do słońca zwrócone, na wolnem polu zasiane, ziarna.

Ziarna w słońcu, tak pięknie kiełkują i wasze wyrosły i pochyliły się pod ciężarem tak piękne, pełne, ciężkie. A ziarna sąsiada? Pod gruszą rosną małe, przy ziemi kłosy. Przyszły kury i ptactwo wszelakie i wydziobały ziarna, a kłosy ostały puste...

I znowu... Te ziarna na wolnem polu posiane, to dzieci wychowane w promieniach oświaty. Te ziarna w cieniu gruszy ostałe, to dzieci, dla których oświata była czemś dalekiem, nieznanem...

Dziecko, którego umysł nauka oświeca, rozwija, nie pójdzie za pierwszym popędem złego, za pokusami i złemi skłonnościami, bo nauka każe mu nietylko złe od dobrego, dobra pozorne od dobra istotnego, rozróżnić, lecz wskaże mu skutki tego złego; wskaże mu zgubność złych popędów i czynników; a każe szukać rzeczy dobrych i pięknych...

Oto kłos pełny, pod promieniami słońca wyrosły!...

Dziecko, wychowane jak to ziarnko pod gruszą cienistą, w ciemnościach duchowych, pójdzie za pierwszym popędem złego. Nie oprze się żadnej pokusie i namowie, bo nie będzie wiedziało, co to jest. Kury i ptaki, pokusy i źli ludzie skorzystają z jego nieoświecenia i jak to ziarno rozdzióbane, tak on pozostanie żerem złych czynników, namiętności i kruków i jak one kłosy, będzie ciemne, o małej duszy i porywach i będzie zawsze puste i... nieszczęśliwe.

»Głupi“ sąsiad powiecie! A iluż takich »głupich sąsiadów mamy!

A teraz jeszcze słowo. Nam Opatrzność dała kawał ziemi, której coś oddać musimy, dała przeszłość krwawą i wielką, dała wspomnienie chwil wielkich. My spadkobiercy idei Wolnej Polski pokazać musimy, że idea ta nietylko w słowach marnych, lecz i w czynie zawierać się powinna. My, wychowując synów i córki, pamiętajmy, że oni nietylko pociechą rodziców, lecz chlubą i podporą Ojczyzny być muszą! A stanie się to wtenczas, gdy to słońce i rosa poranna, gdy ojciec, matka i szkoła pójdą z sobą ręka w rękę, gdy wychowają młodzież o żelaznej dłoni i orlej duszy! Wtenczas dopiero, jutrzenka wolności zajaśnieć nam może, a śpiew:

»Jeszcze Polska nie zginęła«

od Bałtyku po Karpaty będzie brzmiał.

A Zygmunt pieśń przeszłości zagra.

Inaczej... pozostaniemy zawsze niewolnikami, żelaznemi łańcuchami skutymi — karłami jęczącemi pod knutem, a zamiast pieśni wolności i zmartwychwstania — chimera przyszłości z wtórem jęków katowanej dziatwy i wywłaszczonej ludności, z ostatniemi westchnieniami bojkotowanej młodzieży polskiej w Królestwie, zagra nam na skrzypeczkach:

»Miałeś chamie złoty róg,
Miałeś chamie czapkę z piór,
Czapkę wicher niesie,
Wiatr huczy po lesie
Ostał ci sie jeno sznur« *).

*) Słowa Chochoła z »Wesela“ St. Wyspiańskiego.

Szymon Filar.

DRAPACZE NIEBA.



Na wsi, gdzie ziemia stosunkowo tania, budują ludzie domy niskie i dość od siebie oddalone. W miastach atoli, gdzie cena sążnia kwadratowego dochodzi nieraz do kilkuset koron, oszczędzaią ziemię i budują domy wysokie. Szczególniej wysokie domy budują w Ameryce, bo posiadające po dwadzieścia kilka do trzydziestu pięter. Wychodzenie po schodach na najwyższe piętra zabierałoby dużo czasu i męczyłoby bardzo człowieka, wobec tego są tam urządzone windy, zapomocą których można wyjechać aż na najwyższe piętro. U nas w Galicyi takich wysokich domów jeszcze nie budują, ale już w Warszawie wybudowano dom liczący 15 pięter, przy pl. Zielonym. Jest on jednkk jeszcze zanadto mały w stosunku do gmachów amerykańskich.

Tajemnice Morza.

(Opowiadanie profesora francuskiego).

UCIEKAJĄCA SKAŁA.

Nie zapomniano zapewne dotąd wypadku dziwnego, niepojętego i trudnego do objaśnienia zjawiska, jakiem się odznaczył rok 1866. Nie mówiąc już o pogłoskach niepokojących ludność portów, i zajmujących ogół na wszystkich lądach, dodać wypada, że marynarze byli najmocniej zaniepokojeni. Kupcy, dowódzcy okrętów, sternicy statków europejskich i amerykańskich, oficerowie marynarki wojennej wszystkich krajow, a nawet rządy różnych państw obu lądów, do najwyższego stopnia zajęci byli tem wydarzeniem.

Od niejakiego czasu okręty napotykały na morzu jakąś »rzecz ogromną«, przedmiot długi, kształtu wrzecionowatego, niekiedy świecący, nieskończenie większy i szybszy od wieloryba.

Dnia 20 lipca 1866 roku, parowiec »Higginson«, spotkał tę masę poruszającą się w odległości pięciu mil na wschód od wybrzeży Australii. Kapitan Beker sądził zrazu, że trafił na skałę nieznaną; już nawet zabierał się do oznaczenia dokładnego jej położenia, gdy wtem dwa słupy wody ze świstem tryskać zaczęły z tego niepojętego przedmiotu, na wysokość pięćdziesięciu metrów. Jeśli zatem we wnętrzu tej skały nie było ukryte źródło gorące, wybuchające peryodycznie, to okręt widocznie miał do czynienia z jakiemś ssącem, wodnem zwierzęciem, nieznanem dotąd, wyrzucającem przez swe nozdrza słupy wody zmieszanej z powietrzem i parą.

Takiż sam fakt zauważył dnia 23 lipca tegoż samego roku, na morzach oceanu Spokojnego »Kristobal-Kolon«. Tak więc ten nadzwyczajny wieloryb mógł się przenosić z miejsca na miejsce z szybkością zadziwiającą — bo w przerwie trzech dni tylko, »Higginson« i »Kristobal-Kolon« widziały go na dwóch punktach, na siedmset mil morskich od siebie oddalonych.

W piętnaście dni później, o dwa tysiące mil stamtąd, »Helvetia« i »Szannon«, płynące z różnych stron po oceanie Atlantyckim pomiędzy Europą i Stanami Zjednoczonemi, przy spotkaniu zawiadomiły się nawzajem o dostrzeżeniu potwora. Z tych opowiadań można było oznaczyć długość zwierzęcia co najmniej na 110 metrów, gdyż »Szannon« i »Helvetia« były mniejsze od niego, jakkolwiek każdy z tych statków miał sto metrów długości. Największe wieloryby nigdy nie miały więcej jak 55 metrów długości.

Takie wieści, jedne po drugich nadchodzące, poruszyły i zaniepokoiły świat. W krajach lekkiego humoru, jak Francya, żartowano ze zjawiska — ale kraje poważne i praktyczne, jak Anglia, Ameryka, żywo się niem zajęły.

Potwór stał się modnym przedmiotem rozmowy we wszystkich punktach, w których się liczniej ludzie schodzili. Spiewano o nim w kawiarniach, szydzono zeń w dziennikach, grano o nim sztuki w teatrze. Gazety jedne za drugiemi powtarzały baśnie o istotach urojonych i olbrzymich. Wybuchła nieskończona polemika w zgromadzeniach uczonych i dziennikach naukowych. »Potwór« zapalał umysły, dziennikarze w walce ze swymi kolegami wylali morze atramentu na papier.

Przez sześć miesięcy walka trwała zawzięcie, potem przycichła. W pierwszych miesiącach 1867 r. kwestya zdawała się być stanowczo pogrzebaną — aż znów odrodziła się. Nie chodziło już wtedy o rozwiązanie pytania naukowego, ale o uniknienie rzeczywistego i bardzo groźnego niebezpieczeństwa. Potwór stał teraz wysepką czy skałą, ale skałą uciekającą, niepochwyconą, nieokreśloną. Dnia 5 marca 1867 roku, okręt »Moravian« uderzył prawym bokiem swej tylnej części o skałę, której w tem miejscu żadna karta nie oznaczała. Pędził on z ogromną szybkością przez morze. Doskonałej więc tylko budowy spód „Moraviana«, jakkolwiek przedziurawiony przy tym wypadku, ocalił okręt od zatonięcia, wraz z 237 podróżnymi, których wiózł do Kanady. Zapisano jak najdokładniej położenie tego miejsca, i »Moravian« płynął spokojnie w dalszą drogę. Gdy opatrzono dobrze zewnętrzny spód okrętu, okazało się, że belka przez całą długość spodu idąca, w części była strzaskaną.

Zdarzenie to, jakkolwiek bardzo ważne, zostałoby zapomniane, jak tyle innych, gdyby się nie było powtórzyło we trzy tygodnie później. Dnia 13 kwietnia 1867 roku, przy spokojnym stanie morza i wietrze sprzyjającym, okręt »Szkocya« płynął z wielką szybkością z Ameryki do Anglii. O godzinie 4 popołudniu lekkie wstrząśnienie dało się uczuć od spodu przy kole z lewej strony okrętu. Okręt nie uderzył, ale był uderzony przez coś ostrego i dziurawiącego. Potrącenie tak zdawało się lekkiem, że niktby na nie uwagi nawet nie zwrócił, gdyby nie krzyk służbowych, którzy wpadli na pomost, wołając: »Toniemy! toniemy!« Zrazu podróżni bardzo się przelękli, ale uspokoił ich kapitan Anderson, że niebezpieczeństwo nie mogło być groźne, okręt bowiem podzielony był na siedm przedziałów i w żadnym wypadku woda nie mogła się do całego wnętrza przedostać. Kapitan Anderson udał się natychmiast na spód okrętu i zobaczył, że piąty przedział zalany był wodą, a gwałtowność jej przypływu dowodziła, że przedziurawienie musiało być znaczne. Kapitan Anderson kazał jednemu z majtków nurkować dla rozpoznania uszkodzenia; w chwilę potem dowiedziano się, że w zewnętrznym spodzie okrętu jest dziura na dwa metry szeroka. Takiego otworu nie można było zatkać naprędce; parowiec przeto z kołami do połowy zanurzonemi, musiał dalszą odbywać drogę. Gdy okręt wpłynął do portu inżynierowie przystąpili do obejrzenia tegoż, i własnym nie wierzyli oczom. Na półtrzecia metra głęboko pod częścią statku nie zanurzając się, ujrzeli rozdarcie foremne w kształcie trójkąta równoramiennego; blacha żelazna tak czysto była przekrajana, jakby jakiem bardzo ostrem narzędziem, które przeszywszy blachę na cztery centymetry grubą, cofnęło się samo, trudnym do zrozumienia ruchem wstecznym.

Takim był ten ostatni fakt, który do najwyższego stopnia zainteresował na nowo uwagę powszechną. Odtąd słusznie czy niesłusznie »potwora« obwiniano o zgubę każdego okrętu, a ponieważ z tego powodu drogi pomiędzy różnemi lądami stawały się coraz mniej bezpieczne, głos powszechny zaczął się stanowczo domagać, aby nareszcie pomyślano o uwolnieniu mórz od tego strasznego wieloryba.

JAK SIĘ ZNALAZŁEM NA MORZU?

W czasie gdy zaszły te wypadki w roku 1867, powracałem z wycieczki naukowej do niezdrowych okolic Nebraska w Stanach Zjednoczonych, dokąd mnie rząd francuski wysłał. Po sześciu miesiącach spędzonych w Nebraska, obładowany szacownymi zbiorami przyrodniczymi, przybyłem do Nowego Jorku pod koniec marca. Odjazd mój do Francyi oznaczony był na pierwsze dni maja, oczekując zatem, zająłem się uporządkowaniem moich zbiorów, gdy właśnie zdarzył się wypadek z okrętem »Szkocya«.

Byłem doskonale powiadomiony o całym stanie rzeczy, i nie mogło być inaczej. Odczytywałem

niejednokrotnie wszystkie amerykańskie i europejskie dzienniki, a nic się z nich naprawdę w tym względzie nie dowiedziałem. Przypuszczenia o wyspie pływającej, o skale niepochwyconej, stanowczo odrzuconemi zostały. W rzeczy samej, jeśli ta skała we wnętrznościach swoich nie miała machiny, to jakże mogła przenosić się z miejsca na miejsce, i to z taką jeszcze szybkością nadzwyczajną? Z tej samej przyczyny odrzucono myśl o pływającym szkielecie okrętu. Wrócono więc do myśli o potworze.

Za mojem do Nowego Jorku przybyciem wiele osób zaszczyciło mnie zapytywaniem o to zjawisko. Ogłosiłem we Francyi drukiem dzieło w dwóch tomach pod tytułem: »Tajemnice wielkich głębin morskich«. Ta książka łaskawie przyjęta przez świat uczony, podawała mnie za powagę w tej dość ciemnej części historyi naturalnej. Zapytano mnie o zdanie. Dopóki mogłem, zaprzeczałem rzeczywistości faktu; lecz wkrótce przyparty, jak to mówią, do ściany, musiałem wytłómaczyć się kategorycznie. Nawet »New-York-Herald« wezwał publicznie mnie, Piotra Aronnax, profesora Muzeum paryskiego, do wydania jakiegoś w tym względzie sądu.

Ponieważ nie mogłem dłużej milczeć, rozbierałem przeto pytanie pod wszystkimi jego politycznymi i naukowymi względami i przyszedłem do przekonania, że ów potwór jest to rodzaj narwala, zwierzęcia morskiego, mającego na przodzie głowy wielki prosty róg kościany, którym jakby mieczem uderzać zwykł w przeciwnika. Oczywiście w tym wypadku jest to narwal dziesięćkrotnie większy od największych, jakie ludzie widzieli i dziesięćkroć popotężniejszy siłą.

Tej treści artykuł ogłosiłem w jednem z największych pism nowojorskich w »Heraldzie«:



...Pojedziemy na fregacie »Abraham Linkoln«

W kilka dni po ogłoszeniu mego artykułu wyczytałem, że rząd amerykański postanowił wyszukać i zabić owego potwora, i w tym celu przygotowuje doskonały statek, nazwany »Abraham Linkoln«. Była to fregata*) pod dowództwem znakomitego, starego marynarza, kapitana Farraguta.

Fregatę uzbrojono jak na daleką wyprawę; zaopatrzono w ogromne do połowu przyrządy, lecz nie wiedziano, w którą skierować ją stronę. Niecierliwość wzrastała z dniem każdym — gdy wtem nia 2 lipca dowiedziano się, że parowiec kursujący między Ameryką a Chinami przed trzema tygodniami spostrzegł znowu potwora na północnych morzach Oceanu Spokojnego.

Wiadomość ta sprawiła nadzwyczajne wstrząśnienie w umysłach. Nie pozwolono Farragutowi ani na dwadzieścia cztery godzin zwłoki. Okręt jego zaopatrzony już był w żywność i węgle. Z osady nie brakowało ani jednego człowieka: pozostało tylko rozniecić ognie pod kotłami, wydobyć z nich parę i odpłynąć — czego też i sam dowódzca pragnął najgoręcej.

Na trzy godziny przed wyjściem »Abrahama Linkolna« z Brooklynu, otrzymałem list treści następującej:

Do Pana Piotra Aronnaxa
Profesora Muzeum Paryskiego
w Nowym Jorku.

Jeśli pan chcesz przyjąć udział w wyprawie, którą przedsiębierze »Abraham Lincoln«, rząd Stanów Zjednoczonych z przyjemnością będzie widział Francyę reprezentowaną przez pana w tem przedsięwzięciu. Dowódzca Farragut zatrzymał kajutę do pańskiego rozporządzenia.

Z głębokim szacunkiem
Sekretarz marynarki *J. B. Hobsohn.*

Trzy sekundy przed nadejściem listu p. B. Hobsona, nic nie myślałem o ściganiu jednorożca. W trzy sekundy po odczytaniu listu byłem przekonany, że prawdziwym celem mojego życia było ścigać tego potwora i uwolnić świat od niego.

— Konsel! — zawołałem głosem niecierpliwym.

Konsel, był to mój służący. Przywiązany chłopiec ten towarzyszył mi we wszystkich podróżach. Był to dzielny Holender, którego lubiłem i który mi się takiem samem wywdzięczał uczuciem. Flegmatyk z natury, akuratny z zasady, gorliwy z nawyknienia, nie dziwił się nadzwyczajnościom życia; bardzo był biegły w robocie ręcznej, sposobny do wszystkiego. Od dziesięciu lat jeździł wciąż ze mną, wszędzie, gdzie mnie ciągnęło pragnienie nauki. Nigdy najmniejszej nie pozwolił sobie uwagi nad długością albo trudami podróży; ochotnie pakował walizę do jakiegobądź kraju, do Chin, czy do Afryki. Jechał wszędzie z jednaką gotowością, a przytem taki był zdrów, że mógł sobie żartować ze wszystkich chorób.

— Konsel! — wołałem, zabierając się ręką drżącą z niecierpliwości, do przygotowań podróżnych.

Byłem pewny gotowości mego chłopca i zazwyczaj nie pytałem go nigdy, czy chce lub nie chce jechać ze mną w podróż; teraz jednak chodziło o wyprawę, która mogła się przeciągnąć bardzo długo, o przedsięwzięcie zuchwałe, bo o ściganie zwierzęcia, które mogło zatopić fregatę, jak łupinę orzecha! Było się nad czem zastanowić, nawet człowiekowi najobojętniejszemu w świecie.

— Czy to mnie wołają? — zapytał. Taki miał bowiem śmieszny zwyczaj, mówić do mnie w trzeciej osobie.

*) Fregatą nazywano dawniej duży statek wojenny.

— Tak, mój chłopcze. Przygotuj wszystko do podróży. Za dwie godziny pojedziemy.

— Jak im się podoba — spokojnie odpowiedział Konsel.

— Nie mamy ani chwili do stracenia. Zapakuj w moją walizę wszystkie moje przybory podróżne, suknię, koszule, obuwie i t. d. — ale co najwięcej i jak najprędzej.

— A zbiory jego? — zauważył Konsel.

— Później się niemi zajmiemy.

— Więc nie powrócimy do Paryża?

— I owszem .. tak... tak... ale trochę zboczymy z drogi, pojedziemy na fregacie »Abraham Linkoln«.

— Jak im będzie najwygodniej — spokojnie odpowiedział Konsel.

— Ty wiesz, mój przyjacielu, tu chodzi o potwora... o sławnego narwala... Pojedziemy, aby oczyścić z niego morza!

— Co zrobią, to i ja uczynię — odpowiedział Konsel.

— Ale pomyśl dobrze, bo nie chcę nic ukryć przed tobą. Jestto jedna z tych podróży, z których się nie zawsze powraca.

— Jak im się podoba.

W kwadrans potem nasze pakunki były gotowe. W kilka godzin potem byliśmy w przystani, gdzie »Abraham Linkoln« otworami dwóch swoich kominów wyrzucał gęste kłęby czarnego dymu.

Pakunki nasze bezzwłocznie przeniesione zostały na fregatę. Wskoczyłem na pokład i zapoznawszy się z kapitanem Farragutem, zająłem moją kajutę.

W pięć minut potem kapitan Farragut kazał odwiązać ostatnie łańcuchy, przytrzymujące okręt



Ned-Land król oszczepników..

w przystani. Dowódzca nie chciał tracić ani jednego dnia, ani jednej godziny: jak najprędzej dostać się na morza, na których spodziewano się spotkać potwora. Kazał zawołać przełożonego nad machinami.

— Czy mamy dosyć pary? — zapytał.

— Mamy — odpowiedział mechanik.

— Naprzód! — zawołał dowódzca Farragut.

Na ten rozkaz maszyniści puścili w ruch koła zamachowe, para zagwizdała, skrzydła, śruby z coraz większą gwałtownością zaczęły rozbijać fale, i »Abraham Linkoln« poważnie wypłynął, otoczony mnóstwem małych statków parowych, zapchanych ciekawymi, którzy go odprowadzali.

NED-LAND.

Kapitan Farragut dzielnym był marynarzem, godnym fregaty, którą dowodził; on i jego okręt — była to jedna całość, jedna dusza. O potworze nie wątpił ani na chwilę, i na pokładzie swego statku najmniejszego nie dozwalał zaprzeczenia o jego istnieniu. Pojmował potwora, jak żydzi Lewiatana. Potwór istniał według niego, on więc przysiągł, że uwolni morze od potwora.

Oficerowie załogi podzielali zdanie swego zwierzchnika. Trzeba ich było słyszeć jak rozmawiali, sprzeczali się, obliczali różne szanse spotkania z potworem; jak rozważali niezmierną Oceanu rozległość. Ludzie załogi z upragnieniem czekali na spotkanie jednorożca, aby go ułowić, wciągnąć na pokład, obedrzeć ze skóry i poćwiartować. Prócz tego kapitan Farragut mówił o jakichś dwóch tysiącach dolarów, przeznaczonych w nagrodę temu, kto pierwszy dostrzeże i wskaże potwora. Łatwo zgadnąć, jak to się oczy wytężały na pokładzie »Abrahama Linkolna. Sam tylko Konsel obojętnością swoją stanowił rażącą sprzeczność z ogólnym zapałem, ożywiającym wszystkich.

Powiedziałem już, że kapitan Farragut starannie zaopatrzył swój okręt we wszystko, co było potrzebne do złowienia olbrzymiego wieloryba. Posiadaliśmy wszystkie machiny znane, od harpuna rzucanego ręką, aż do strzał najeżonych piórkami piorunującemi i kul wybuchających, z długich strzelb wyrzucanych. Na przednim pokładzie stała wielka armata udoskonalona, nabijana z tyłu, o bardzo grubych ścianach a bardzo wązkim wylocie. Szacowne to narzędzie, pochodzenia amerykańskiego, wyrzucało pocisk spiczasty, ważący cztery kilogramy, na odległość szesnastu kilometrów.

Zatem »Abraham Linkoln« dobrze był zaopatrzony we wszystkie narzędzia niszczące: ale, co najważniejsza, na pokładzie jego znajdował się Ned-Land, król oszczepników.

Ned-Land był to Kanadyjczyk, niesłychanie zręczny i niezrównany w swem niebezpiecznem rzemiośle; posiadał on prócz zręczności, w najwyższym stopniu krew zimną, odwagę i przebiegłość. To też podobno nie było wieloryba tak silnego i przebiegłego, żeby uszedł przed jego harpunem.*) Był to mężczyzna czterdziestoletni, ogromnego wzrostu, silnie zbudowany, z miną poważną; mało mówił, bywał niekiedy gwałtowny, a wpadał w szalony gniew, gdy mu się sprzeciwiano. Cała postać jego zwracała na siebie uwagę wejrzenie jego dziwnie było przenikliwe.

Sądzę, że kapitan Farragut rozumnie postąpił, przyjmując tego człowieka na pokład swej fregaty. W obecnej wyprawie ręka jego i oko starczyło za całą załogę.

*) Harpun, jest to dzida, czyli oszczep na linie, którą wielorybnik z łodzi wbija w ciało zwierzęcia, trafiony tak wieloryb nie może uciec, gdyż koniec liny ludzie trzymają z łodzi.

Kanadyjczyk ten, pomimo swej małomówności, odrazu okazywał do mnie wyraźną skłonność. Rozmawiał ze mną często, i zwolna zasmakował w rozmowie. Lubiłem słuchać opowiadań jego o wypadkach, których doznał na morzach podbiegunowych. Opisywał on swoje łowy i walki.

Gdyśmy mówili o naszym potworze, nie bardzo on wierzył w jednorożca, i sam jeden ogólnej pod tym względem na statku nie podzielał opinii; unikał nawet starannie rozmowy w tym przedmiocie.

Pewnego ślicznego wieczora, 30 lipca, to jest w trzy tygodnie po naszym wyjeździe, fregata znajdowała się o trzydzieści mil od wybrzeży patagońskich.*) Za tydzień »Abraham Lincoln« pruć będzie fale oceanu Spokojnego. Ja i Ned-Land siedzieliśmy na tyle okrętu, rozmawiając o tem i owem. Naturalnie naprowadziłem rozmowę na olbrzymiego jednorożca, zastanawiając się nad wszystkiemi widokami powodzenia naszej wyprawy; widząc, że Ned pozwala mi mówić, a sam uporczywe zachowuje milczenie, chciałem go zmusić do odpowiedzi.

— Jak to być może Ned, zapytałem go, abyś nie był przekonany o istnieniu potwora, którego ścigamy? Czy masz jakie powody do niewierzenia?

Wielorybnik patrzył na mnie przez chwilę zanim odpowiedział; uderzył się ręką w szerokie swe czoło, przymrużył oczy, jakby dla zebrania myśli — i nareszcie rzekł:

— Być może, panie Arronax.

— Jednakże, mój drogi, jako wielorybnik z rzemiosła, oswojony z wielkiemi zwierzętami ssącemi żyjącemi w morzu, najmniejbyś ze wszystkich niedowierzania w tym razie okazać powinien.

— W tem właśnie mylisz się, panie profesorze. Ścigałem już mnóstwo wielorybów wszelkiego gatunku; nachwytałem i nazabijałem ogromną liczbę; lecz jakkolwiek dzielnie były uzbrojone, nie spotkałem takiego, coby ogonem swym lub zębem mógł uszkodzić żelazne okucie okrętu.

— A jednakże wymieniają statki, przebite na wskróś zębem narwala.

— Statki drewniane, być może, odpowiedział Kanadyjczyk — a i tych nawet nie widziałem jeszcze. Więc dopóki mieć nie będę dostatecznie przekonywającego mnie dowodu, zaprzeczam, aby wieloryb, potfisz lub jednorożec morski — mogły dokazać czegoś podobnego.

Zacząłem opowiadać mu długo i obszernie, dlaczego owego potwora uważam za zwierzę i częściowo go przekonałem. Nie chciał przyznać, że mi wierzy, ale znać było, że się waha i gotów jest pójść za mojem zdaniem.

Tak jechaliśmy przez kilka tygodni. Opłynęliśmy Amerykę południową i pruliśmy szybko fale oceanu Spokojnego, wyglądając pilnie na wszystkie strony, czy nie ujrzymy upragnionego potwora.... Nadaremnie, nic nie było widać... Zapytywaliśmy wszystkie staki napotykane po drodze, czy one nie widziały tego, którego znaleźć bądź co bądź musieliśmy? Nikt nic nie widział i tydzień za tygodniem znowu mijał bez skutku. Wypłynęliśmy w lipcu, był już listopad, a my i nie widzieliśmy nic...

Pewnego wieczoru stałem na pokładzie i oparty o poręcz stątku, rozmawiałem z Konselem, patrząc na czerwony zachód słońca. Na pokładzie panowała cisza. Nagle przerwał ją krzyk donośny, gromki. Był to głos Ned-Landa, który wołał co miał siły:

— Tam! tam! pod wiatr... potwór... przeżyna nam drogę w poprzek!

*) W Ameryce południowej.

Z TYGODNIA.

Rada państwa w Wiedniu obraduje nad zmianą regulaminu obrad Izby. Przy dyskusyi dużo się mówiło w zeszłym tygodniu o zarzutach, postawionych prezesowi Głąbińskiemu przez posła socyalistycznpgo Breitera w sprawie mianowania p. Wetzlera członkiem Izby Panów. Przemawiał też sam prezes Głąbiński, ale tak, że wiele gazet polskich uznało te wyjaśnienia za niedostateczne i wzywa p. Głąbińskiego, aby więcej coś o tem powiedział przy najbliższej sposobności, która się nadarzy za parę dni, przy omawianiu osobnem tej sprawy. Prezes Koła powinien bardzo dbać o swój honor i bronić go jasnemi dowodami, bo przedstawia przed parlamentem i przed całym światem honor całego narodu polskiego.

Monopol na zapałki będzie z całą pewnością wprowadzony. Być może, że wydzierżawi go od państwa wielki »Bank dla krajów«. Niektóre stronnictwa, także i Koło polskie, chcą, by go wydzierżawiły istniejące fabryki zapałek.

Nowe prawo przeciw Polakom w Rosyi. Do niedawna nie wolno było żadnemu Polakowi kupować ziemi na Litwie i Rusi rosyjskiej. Prawo to zaprowadzono po powstaniu w roku 1863 i sprawiło, że bardzo wiele ziemi polskiej przeszło w ręce obce, bo ziemia polska sprzedana mogła się dostać tylko Rosyaninowi. Przed kilku laty, po nadaniu konstytucyi, rząd rosyjski zniósł częściowo ten zakaz, mianowicie, pozwolono w tych prowincyach kupować ziemię Polakom, ale tylko od Polaków, a od Rosyan nie. Już to była duża ulga i w ostatnich latach obszary dworskie polskie na Litwie i Rusi zaczęły bądź przechodzić na własność obywateli z Królestwa i Galicyi, bądź też parcelować się pomiędzy włościan polskich. Miało to szczególnie ważne znaczenie dla Chełmszczyzny, graniczącej z Królestwem, gdzie żywioł polski zaczął się wzmagać z wielką korzyścią dla katolicyzmu.

Było to solą w oku dla urzędników rosyjskich i tak zwanych nacyonalistów, wrogich Polakom. Milczkiem zaczęli myśleć i kręcić, aż wymyślili: przed kilku dniami wniesiono do Dumy projekt ustawy, zabraniającej na Rusi, czyli na Ukrainie, Podolu i Wołyniu kupowania majątków tym Polakom, którzy pochodzą z Królestwa Polskiego albo z Galicyi i Wielkopolski. Przy dzisiejszym składzie Dumy można się obawiać, że ten nowy gwałt stanie się prawem. Naród nasz będzie miał jeszcze jeden ciężki okres do przetrwania.

Powstanie w Albanii słabnie, jak zapewniają gazety tureckie. Donoszą one, że kilka największych oddziałów albańskich Turcy pobili, a powstańcy oddali broń. Czy to tak całkiem pomyślnie jest dla wojska tureckiego, niewiadomo. W Europie nie całkiem temu wierzą, i mówią ludzie, że jeszcze długo w Albanii nie będzie spokoju.

Wyspa Kreta należy niby to do Turcyi, ale ma swój własny sejm, pozostający pod opieką wielkich państw europejskich: Austro-Węgier, Rosyi, Niemiec, Francyi, Włoch i Anglii. Ludność tam jest częściowo turecka, mahometańska, ale przeważnie grecka, chrześciańska, ale nie katolicka. Niedawno zebrał się Sejm kreteński i zamiast sułtanowi tureckiemu, przysiągł wierność królowi greckiemu. W Turcyi zapanowało oburzenie i rząd postanowił wysłać do Krety wojsko i okręty, aby ukarać niewiernych poddanych. Zdaje się, że wielkie państwa europejskie będą musiały się wdać w tę sprawę, skoro się opiekują Kretą. Z takich zawikłań nieraz przychodzi do nieporozumień, a czasem i do wojen.

KRONIKA.

Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Tak jak znany jest każdemu Polakowi od dziecinnych lat, podajemy na pierwszej stronie. W tej postaci nie ujrzy go już niczyje oko! Obdarty z dawnych ozdób obraz święty posiadł ozdoby nowe. Widok nowego obrazu podamy naszym czytelnikom w numerze następnym, razem z dokładnym opisem uroczystej koronacyi, na którą wyjeżdża do Częstochowy jeden z redaktorów *Roli*.

Zakupi on tam znaczniejszą liczbę obrazków przedstawiających Matkę Boską Częstochowską z Dzieciątkiem Jezus, w nowych koronach i w nowych sukienkach. Zakupiwszy obrazki, uprosi on Najprzewielebniejszego Ojca Jenerała Euzebiusza Rejmana, przeora Księży Paulinów Jasnogórskich, aby przed ołtarzem Cudownym obrazki te poświęcił prosząc Najświętszą Maryę Pannę o łaskę dla wszystkich, którzy przed tymi obrazkami do Niej modlić się będą.

Obrazki te przewiezione będą do Krakowa i przechowane w redakcyi, abyśmy od czasu do czasu czynić z nich mogli podarunki tym naszym Czytelnikom i Przyjaciołom, od których nasza redakcya najwięcej dozna życzliwości i pomocy.

Przyjemną zmianę w *Roli* zauważy każdy czytelnik i, jak przypuszczamy, będzie z niej zadowolony. Oto z dzisiejszym numerem *Rola* drukowana będzie innemi literami, nowemi, a więc znacznie jaśniejszemi i wyraźniejszemi. Postaraliśmy się umyślnie, choć to drożej kosztuje, aby nasi czytelnicy, po ciężkiej pracy całego tygodnia, mniej oczy swoje męczyli w niedzielę przy czytaniu naszej gazetki.

Zaprowadziliśmy jeszcze drugą zmianę. Oto niejeden z czytelników zauważy odrazu, że każdy wiersz druku jest dłuższy od dawnego, a każda strona ma po 4 rządki więcej. Pozornie nie wiele to znaczy, ale gdyby sobie który czytelnik zadał trud policzenia teraz wszystkich literek, i porównał z tem, ile ich w poprzednich numerach bywało, przekonałby się, że przybyło w ten sposób 144 wierszy czyli akurat jedna strona druku! O tyle więc rozszerzamy nasze pismo, a czynimy to znacznym kosztem, chcąc się odwdzięczyć naszym Kochanym Czytelnikom za te liczne pochwały i podziękowania, których nie szczędzą redakcyi za jej pilną pracę. Niech tylko każdy rozszerza pismo najgorliwiej, a zyska na tem sam, bo im więcej napłynie prenumerat, tem lepsze i jeszcze większe będziemy mogli wydawać pismo.

Kto *Rolę* popiera,
Rychło owoce zbiera!

Nową powieść pod tytułem *Tajemnice morza* rozpoczynamy dzisiaj drukować i ukończymy ją aż z końcem roku. Jest to sławne, na wszystkie języki świata tłumaczone opowiadanie o kilku ludziach, którzy dziwnym sposobem potrafili dostać się na dno Oceanów i wędrowali pod morzami, poznając te tajemnicze części kuli ziemskiej, w których więcej jeszcze niż gdzieindziej objawia się niezmierzona potęga Boga, Stwórcy wszechświata. Napisał ją sławny autor francuski Juliusz Werne.

Do powieści tej zamówiliśmy piękne obrazki z Paryża i podawać będziemy po dwa lub trzy w każdym numerze.

Rusini nie uznają Matki Boskiej za Królową Polski. Z Lipnik w powiecie mościskim pisze nam jeden z naszych przyjaciół, że tamtejszy duszpasterz, Przew. Ksiądz Łabuda, wygłosił w święto Wniebowstąpienia Pańskiego piękne kazanie o Matce Boskiej, Królowej Korony polskiej. Rusinom, mieszkającym w tej parafii, twierdzenie czcigodnego kapłana, uznane zresztą przez cały świat katolicki, nadające Maryi Pannie ten tytuł, okropnie się nie spodobało. Nierozumni ludzie gniewają się o to i zapewne udadzą się na skargę, ale chyba do... cara rosyjskiego.

Kurs dla pisarzy gmin wiejskich szesnasty z rzędu otwarty zostanie przy Wydziale krajowym z dniem 1 sierpnia b. r. Starający się o przyjęcie mają wnieść podanie, zaopatrzone w potrzebne dokumenty (metrykę urodzenia, ostatnie świadectwo szkolne, świadectwo moralności, świadectwo zdrowia, własnoręcznie napisany krótki opis życia, ewentualnie świadectwo ubóstwa) na ręce właściwego Wydziału powiatowego, który je przedłożyć miał Wydziałowi krajowemu w terminie do 25 czerwca b. r. Podania wnoszone wprost do Wydziału krajowego nie będą uwzględnione. O bliższych warunkach przyjęcia dowiedzieć się można w kancelaryi Wydziału powiatowego.

Skarb w piwnicy. W piwnicach znajdujących się pod kościołem OO. Dominikanów we Lwowie w których od dłuższego czasu prowadzi się roboty restauracyjne, dokonano ciekawego odkrycia. Dwaj robobotnicy kopiąc pod murem piwnicy natrafili na znaczniejszą ilość guldenów zakopanych w ziemi. W ciemnej piwnicy nie zauważyli pieniędzy i dopiero robotnicy, którzy wywozili ziemię, dali znać o odkryciu skarbu. Zawiadomiono natychmiast policyę, która wysłała na miejsce agentów policyjnych.

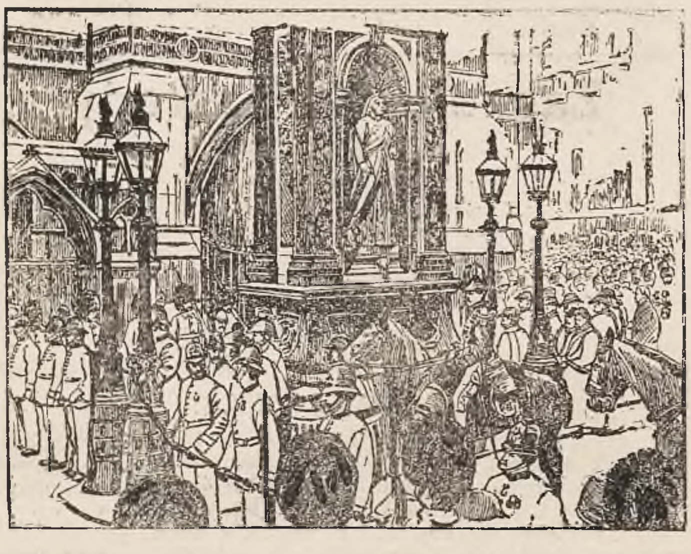
Jak opowiadają świadkowie, wiele monet zdołali rozchwytać robotnicy. Mimo to agenci zdołali jeszcze zabrać 500 guldenów. Monety są prawie zu-



pełnie nowe i niemal wszystkie pochodzą z r. 1879. Kto je zakopał i w jakim celu? Na to pytanie zdaje się, że nie zdoła policya odpowiedzieć, gdyż pieniądze zakopano prawdopodobnie jeszcze przed laty, a prawdopodobnie musiały pochodzić albo z kradzieży, lub też zostały ukryte przez jakiegoś skąpca.

Pomysłowy pastor. Chcąc prędzej napchać kabzę brzęczącymi dolarami, pastor amerykański W. Savidge, oznajmił swoim wiernym, zwłaszcza młodzieży, że 18 maja nastąpi koniec świata, gdyż ogon komety Halleya zetknie się z ziemią i trujące gazy wyduszą całą ludzkość. A ponieważ na drugim świecie niema małżeństw i rozkoszy, radzi więc przeto, aby młode pary żeniły się czemprędzej i choć kilka dni sobą się nacieszyły. To pono poskutkowało i kilkadziesiąt par przyszło wziąć ślub u sprytnego pastora, który się tylko uśmiechał, brał dolarki i chował je do kieszeni. Trafił jednak na sprytniejszego od siebie. Oto jakiś młodzieniec przyszedł, dostał ślub w ślicznie ubranym kościele, a potem — nie zapłacił, powiadając pastorowi, że po końcu świata pieniądze będą mu niepotrzebne. Chciwy pastor zębami zgrzytał, ale powiedzieć na to nic nie mógł.

„Srebrny sznur“. Śródmieście Londynu, dzielnica zamieszkała przez najbogatszych kupców, zwana *City*, posiada od niepamiętnych czasów, bo od setek lat, wiele rozmaitych praw i przywilejów, które nadali tej dzielnicy królowie angielscy rozmaitymi czasy na znak, że potężną i bogatą dzielnicę uważają za ważniejszą niż wszystkie inne miasta Anglii razem wzięte. W Anglii wszystkie zwyczaje są bardzo pilnie przestrzegane zatem i teraz niedawno dokonano uroczystości zwanej »świętem srebrnego sznura«.



Polega ono na przywileju, że ogłoszenie nowego króla dokonywane dla całego państwa publicznie przed pałacem królewskim, nie wystarcza dla *City* i musi być dla niej osobno ogłoszone. W tym celu na granicy śródmieścia, gdzie dawniej były mury obronne z bramą, a gdzie dzisiaj wznosi się pomnik królowej Wiktoryi, staje burmistrz *City*, zwany lord-major, w uroczystym stroju starodawnym, ze wszystkimi radnymi i urzędnikami magistratu. Czeka on na przybycie pochodu, t. zw. »Herolda« królewskiego, który ma wielkim głosem, przy dźwięku trąb ogłosić wstąpienie na tron nowego króla. Miejsce przed lordem-majorem jest odgraniczone srebrnym sznurem. Wspaniały orszak konny herolda zbliża się, herold głośno wypowiada mowę, że nowy król prosi o pozwolenie ogłoszenia swego wstąpienia na tron przed ludnością *City*. Lord major pozwala na to i nakazuje opuścić srebrny sznur na ziemię, poczem herold zbliża się, staje przed pomnikiem i po graniu trąb ogłasza, że nowy król, Jerzy V., wstąpił na tron królów angielskich, po śmierci swego ojca, Edwarda VII. Ten właśnie zwyczaj jest wyrysowany na naszym obrazku. Widać tu srebrny sznur i osoby biorące udział w uroczystości u stóp pomnika królowej Wiktoryi. Na przodzie widać niedźwiedzie czapy gwardzistów królewskich.

Ucieczka z pod szubienicy. W Wilnie, stolicy Litwy, skazano na śmierć przez powieszenie żołnierza Satiulina. Onegdaj o godz. 2 w nocy oddział żołnierzy prowadził skazańca na miejsce stracenia. Gdy cały pochód był już przy bramie więziennej, wtedy Satiulin wymknął się żołnierzom i począł uciekać. Wkrótce znikł w ciemnościach. Żołnierze rzucili się za nim w pogoń. Kiedy zbieg zjawił się w miejscu oświetlonem przez latarnię uliczną, dali do niego ognia z karabinów. Satiulin przebiegł kilka kroków jeszcze i padł martwy na ziemię. Szczęście, że było to wszystko w nocy, a więc nie było ludzi na ulicy, bo inaczej byliby strzelający mogli kogoś zranić lub zabić. Przechodził wtedy wprawdzie ulicą jeden oficer rosyjski, ale ten z wielkiej odwagi schował się do rowu, skąd go później na wpół omdlałego ze strachu wyciągnięto.

Niezwykły ślub. Bogaty rolnik w Anglii przed 27 laty rozwiódł się z małżonką, gdy przeżył z nią szczęśliwie przeszło 20 lat i miał kilkoro dzieci z tego małżeństwa. Przez te 27 lat rozwiedzeni małżonkowie nie zamienili ze sobą ani słowa. Mąż wstąpił ponownie w związki małżeńskie, a i dawna jego żona wyszła za mąż. Oboje jednak owdowieli i teraz przed paru dniami spotkawszy się w pewnem miejscu, odrazu się porozumieli i poszli do pastora, który ich ponownie połączył. On liczy obecnie 81 lat, a żona jego 77 lat życia. Na weselu pogodzonego małżeństwa bawiło się ich kilkoro dzieci, kilka tuzinów wnucząt i kilka prawnucząt.

Kobiety adwokatki w Nowym Jorku (u nas takich niema jeszcze, dzięki Bogu), w liczbie 50 zorganizowały się w swoją własną Izbę adwokacką, aby nie być zależne od adwokatów mężczyzn. Będzie też dość gadania w tej Izbie!

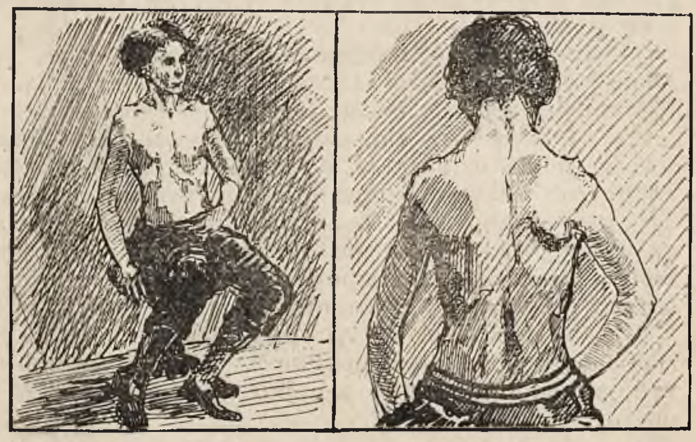
Schowana w kufrze. Czytelnicy wiedzą, że istnieje na świecie między znikczemniałymi ludźmi haniebny przemysł, zwany »handlem żywym towarem«. Polega na tem, że zbrodniarze namawiają młode, ładne dziewczęta do wyjazdu nibyto na zarobek lub świetne zamążpójście, a prowadzą je na zgorszenie i zepsucie, biorąc za to pieniądze od tych, co kupują dziewczęta na rozpustę. Najwięcej ten handel dziewczętami rozpowszechniony jest na Węgrzech północnych, a zajmują się nim przeważnie żydzi. Policya stara się tych zbrodniarzy śledzić, ale biorą się oni na najrozmaitsze sposoby, byle dokonać jak najbezpieczniej a najkorzystniej swoich łajdactw.



Niedawno zauważono u pewnego takiego »kupca« w Koszycach coś podejrzanego. Oto do jego domu wchodziło dużo dziewcząt, a jakoś bardzo mało wychodziło. Natomiast zauważono, że kupiec wysyła dużo towarów na kolej, zapakowanych w skrzyniach, koszach i kufrach. Zaczęto prowadzić dochodzenia i pewnego poranku do mieszkania pejsatego kupca weszła komisya policyjno-sądowa. Cóż się okazało? Oto w jednej izbie siedziało kilka dziewcząt, a w drugiej znajdowało się dużo kufrów, skrzyń i t. p. Jeden kufer stał na środku zamknięty; gdy go urzędnicy otworzyli, ujrzeli na dnie młodą pannę z ubogiej ale porządnej rodziny rzemieślniczej. Nikczemny handlarz obiecał jej, że ma dla niej bogatego i ładnego męża w Ameryce, ale policya nie rozumie się na takich rzeczach, powiadał, i przy wyjeździe mogłaby ją ze stacyi kolejowej zwrócić rodzicom do domu, trzeba ją więc wysłać kufrem do niedalekiego

miasta, a po godzinie ona wyjdzie z ukrycia i spokojnie pojedzie do Ameryki na świetny los. Takiemi namowami i sposobami niejedną ofiarę już wywiózł ten szachraj w świat, na zgorszenie i nieszczęście. Za to poszedł oczywiście do kryminału, dużo prędzej niż jego ofiary do Ameryki dojeżdżały.

Skamieniały człowiek. Różne dolegliwości zsyła Bóg na rodzaj ludzki. Oprócz chorób cięższych i lżejszych, którym podlega każdy, bywają dziwne przemiany ciała ludzkiego, o których dotychczas nie słyszano. W Londynie przywieziono przed kilku laty do szpitala człowieka kruchego, który był nibyto zupełnie zdrów, ale przy lada uderzeniu wszystkie kości w nim się łamały. To kruszenie kości doszło do tego, że nieszczęśliwy nie mógł już ani chodzić, ani siedzieć. Ciało jego przy dotknięciu wydawało chrzęst, jakby było workiem z drzazgami.



W Berlinie znowu opisali lekarze przed kilku laty 36-letniego Rumuna, któremu wszystkie mięśnie kostniały i doszło do tego, że nie mógł już jeść, bo szczęka się nie ruszała. W ten sposób zwolna przemienia się ten człowiek w kamiennego, gdyż za dotknięciem ma się wrażenie, że to nie ciało, ale skała, koloru skóry ludzkiej. Człowiek ten jest zresztą zupełnie zdrów, tylko nie może ust otwierać, więc karmią go sztucznie, wprowadzając do żołądka przez rurkę gumową płynne pokarmy. Zarabia na życie w ten sposób, że się pokazuje za pieniądze jako osobliwość, jeżdżąc po miastach. Przed dwoma tygodniami bawił w Morawskiej Ostrawie, gdzie go sfotografowano, jak widać na obrazku.

Praca była mu za... lekka. Urzędnik prokuratora w pewnem mieście angielskiem ustąpił ze swej posady, ponieważ, jak powiada, praca była za lekka i nie miał wiele do czynienia, a za darmo pieniędzy brać nie chce. Posada przynosiła mu 5000 koron rocznej pensyi. Zapewne na jego miejsce znajdą się setki amatorów lekkiej pracy, bo takich coby chcieli tylko ciężkiej, mało się znajdzie.

Skarb w mieszkaniu. W Nowym Jorku zmarła stara dziwaczka, pani Adelajda Moss, wdowa po bogatym właścicielu teatru. Pozostał po niej tylko jeden syn i dwóch wnuków, którym przypadł w udziale dość znaczny majątek. Wiedziano jednak, że matka i babka posiada starożytne kosztowności nader cenne, oraz papiery wartościowe, których nigdzie nie mogli znaleźć. Przypadkowo wnuk zmarłej dotknął się podstawy od figurki gipsowej, stojącej na piecu, ukryta sprężyna odskoczyła i otwarły się drzwiczki od skrytki, w której znajdowały się kosztowności warte pół miliona koron i drugie tyle w gotówce. Znaleziono także 4000 paczek z różnemi towarami, a które były nieodpakowane od czasu zakupna.

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 17. maja:

Buhaje	Kor.	80	do	150	za sztukę
Krowy	"	120	"	200	"
Jałówki	"	70	"	140	"
Cielęta	"	20	"	64	"
Owce	"	—	"	—	"
Świnie (żywa waga)	"	152	"	178	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w dniu 17. maja:

Pszenica	Kor.	12·20	do	12·50	za 50 kg.
Żyto	"	8·30	"	8·50	"
Jęczmień	"	7·—	"	7·30	"
Owies	"	7·80	"	7·90	"
Otręby pszenne	"	5 50	"	5·20	"
" żytnie	"	5·15	"	5·20	"

Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.

(Nadesłał Jan Cieśla z B.).

Z pierwszej się koszulę zdziera,
Drugie jest litera;
Całość życie budzi
U zwierząt i ludzi.

2. ZAGADKA.

(Nadesłał Tomasz Pasierb z S.).

Co starsze: czy Adam, pierwszy człowiek, czy płot i dlaczego?

3. ŁAMIGŁÓWKA.

(Nadesłał Jan Inglot z S.).

Z podanych poniżej zgłosek utworzyć 8 słów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, dadzą nazwisko króla polskiego: A, e, grest, gru, in, ja, ko, ko, kób, ła, łóż, ny, o, sza wa, wa.

Znaczenie wyrazów: 1. Imię męskie, 2. krzew, 3 drzewo owocowe, 4. przysłówek, 5. imię żeńskie, 6. legowisko, 7. sprzęt domowy, 8. narząd wzroku.

* * *

Za dobre rozwiązanie przeznaczamy oprawną książkę z 48 obrazkami A. Morzkowskiej p. t. **„Żołnierzyk Burski“**. Nagrodę wylosować może tylko prenumerator *Roli*. Termin nadsyłania rozwiązań do 28 maja b. r. Adres: **Kraków, ul. św. Tomasza 32 Redakcya *Roli*.**

* * *

Znaczenie zagadek z nru 19 *Roli:* 1. Szarada: **Ta-tar-ka**, 2. Zagadka: **Ewa**, 3. Krzyż magiczny: **Apolinary, Kazimierz, Stanisław.**

* * *

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

1.

Pierwsza z drugą to Tatar wróg dla Polski srogi,
Niszczył ją niegdyś mieczem, wzniecając pożogi.
Trzecia z drugą znów dla wszystkich bywa wrogiem: katar,
Słabość groźna, lecz nie tak, jakim bywał Tatar.
Wszystko razem tatarka w naszych polach siana,
A przez naszych rolników bywa tak lubiana.
Myślę sobie długo co za imię znaczy,
Litera w literze, aż mi go tłumaczy
U kuma Kanikuły służąca tam dziewka,
Że imię ma Ewa a mówią jej Jewka.
I prosta dziewczyna gładko rozwiązała,
Choć mi się mądrą wcale nie zdawała.
Więc ja Czytelnikom powiedzieć to muszę:
Czasem ludzie mali wielką mają duszę,
Rozum niepośledni, choć nie widać tego
Z osoby, jak u Jewki sąsiada mojego.

Julian Ziółkowski z K.

2.

Po skończonej wiośnie więcej jest wolności
Poczytać gazetkę. W niej rozmaitości.
Można się dowiedzieć dużo ciekawego,
A najwięcej z Maćka z Bzdury i zalotów jego.
Jak gazetę w rękę wezmę, jużem w otoczeniu
I wołają: Czytajże nam o Maćku oto w tym tu cieniu.
Jest dosyć ciekawa ta Maćkowa mowa,
Ale właśnie z owym Bzdurą jest mądrzejsza głowa.
A na końcu jest szarada zaś do rozwiązania.
Za to będzie ładna książka do wylosowania.
Dawniej w naszej polskiej ziemi był groźliwy Tatar,
Jak kto zgrzany a oziębnie ma gotowy katar.
Do najpóźniejszej siewki należy tatarka.
Jak wymienię 3 imiena jest magiczna spółka,
Stanisław, Kazimierz i Apolinary
Ewa tego dopełnienie i dość tej zabawy.

Józef Ralski z O.

3.

Pierwsze z drugiem
To dzicy »Tatarzy«,
Trapiąc Polskę naszą
Jak widmo zarazy!
A to trzecie drugie
To także nie długie,
Bo to krótko znaczy
»Katar«, jak się patrzy.
A wziąwszy taką całość
Odgadnąć nie trudno,
Że »tatarkę «zasiać
To wcale nie żmudno.
A w krzyżu magicznym
Trzy nazwiska znane,
Jedno »Apolinary«,
Mało używane.
Drugie imię »Kazimierz,
Także nam pamiętne,
Bo je nosił król chłopków,
Co kochał lud tak pięknie.
A imię »Stanisław«
Jest naszem patronem,
Bo je nosił Polak
W osobie święconej.
W zagadce pomimo
Myślenia długiego
Nie mogłem natrafić
Na coś właściwego.

D. Felczer z P.

* * *

Oprócz tego rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali P.P.: Stanisława Kowalska z K., Adam Warchoł z Z., Leon Łętowski z S., F. Giergielewicz z L., Wojciech Bober z H., Michał Dudek z Ż., Władysław Stefański z G., Józefa Hirszberg z K., Adela Bezokówna z K. m., Kazimierz Suchodolski z H. Adam Kopernicki z K.

Jako nagrodę przy losowaniu otrzymał p. **Kazimierz Suchodolski w H.** książkę p. t. ***Z dawnych czasów.***

Odpowiedzi Redakcyi.

PP. Józef Stopiak w K.: W Galicyi mamy tylko dwa miasta, które liczą ponad 100 tysięcy mieszkańców. Są nimi Lwów i Kraków. Najwyższe domy mają czteropiętrowe. Do polskich miast liczących ponad 100 tysięcy należy Warszawa, stolica Polski, gdyż ma 800 tysięcy mieszkańców, dalej Łódź na Mazowszu, miasto fabryczne 350 mieszkańców, Wilno, stolica Litwy 200 tysięcy mieszkańców, Poznań, stolica Wielk. Ks. Poznańskiego 125 tysięcy mieszkańców, Gdańsk w Prusach Zachodnich 150 tysięcy mieszkańców. Są jednak miasta na świecie liczące po kilka milionów mieszkańców. Największe z miast europejskich są: Londyn, Paryż, Berlin, Wiedeń. Olbrzymie miasta amerykańskie mają domy sięgające w górę na kilkadziesiąt pięter. Dziś podajemy właśnie obrazek przedstawiający takie domy. — Robert Rydz w T.: Zaczekamy. Co do druku wierszyków, pomimo, że są dobre, nie możemy oznaczyć czasu kiedy je umieścimy, gdyż to zależy od wielu rzeczy. — Jan Księżyc w A.: Wysłaliśmy i czekamy na prenumeratę. — Michał Nowakowski w M. : Poprawiliśmy. — Jan Marzec w T.: Wysłaliśmy podług życzenia. — Fr. Mikulski w P.: Dobrze, ale kiedy? — Walenty Flak w P.: Tylu z waszej gminy prosi o numera okazowe, a mało kto prenumeruje. Wygląda to na niesmaczny figiel, przez który inni cierpią niesłusznie. — Wawrzyniec Kaczmarczyk w K. W.: Odpowiedzieliśmy kartką. — Władysław Heliński w T.: Wysyłamy. — Józef Bańka w Lipsku: Cieszy nas bardzo że na obczyźnie przybywa nam coraz więcej czytelników. Już to prawda, że gdzieindziej bardziej odczuwają potrzebę czytania niż w Galicyi. U nas mają jeszcze większe wzięcie gazetki, które wymyślają braciom, pisząc nieprawdę, jak gazetki spokojne i pouczajace. Smutne to, ale prawdziwe. — Józef Nowak w W.: Wysłaliśmy z czekiem, na który najdogodniej przesłać prenumeratę, bo opłata poczty nic w ten sposób nie kosztuje. — Jan Bystryk w M. K.: Proszę być spokojnym: nikt nas na kawał nie weźmie. Wszystko co mieliśmy do powiedzenia, nasz główny redaktor napisał; tego się trzeba trzymać. „Nóżki na stół"! — powiadali starodawni Polacy. Numery okazowe będą wysłane. Komplety wysyłamy za poprzedniem nadesłaniem prenumeraty.

W dalszym ciągu prenumeratę nadesłali P. P.: Teresa Świderska z K. (4 K.), Bronisława Brylowa z G. (4 K.), Zarząd dóbr Wrząsowice (dla szkoły 4 K.), Załubski Piotr z Ł. d. (3 K.), Kółko rolnicze w B. p. (2 K.).

OBRAŻONY.

— Co ja widzę? Wy żyjecie? Wszak mówiono, że się wam zmarło?

— Tak? — i nie bylibyście nawet na moim pogrzebie?!

Cobyś też zrobił, Bartłomieju, gdybyś wygrał wielki los na loteryi?

Jednego talara zarazbym wzion i przepił, a resztę zakopałbym tak, żeby nawet prawnuki nie znalazły.

— Jutro obchodzę dwudziestą rocznicę mych urodzin.

— A jakże.

— Ale ja ją obchodzę po raz pierwszy moja kochana!

U PIEKARZA.

— Wasze dwucentowe bułki są w stosunku do jednocentowych za małe.

— Mylicie się. To moje jednocentowe bułki są w stosunku do dwucentowych za duże. Zmniejszę je od jutra.

Gospodyni: Za naszych czasów kobiety miały tysiące sposobów czesania swoich włosów.

Jeden z gości weselnych: Tak, ale na czesanie swego męża zawsze jeden tylko miały sposób!

W SKŁADZIE WĘGLA.

— Chwaliliście się, że wasz węgiel jest bardzo oszczędny. Tymczasem on wcale palić się nie chce!

— Czyż może być bardziej oszczędny węgiel?

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**

Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.